

ROZMOWA Z KRYSZYŃĄ JANDĄ

TRZEBA O MNIE SPECJALNIE POMYŚLEĆ

EWA GALAZKA: Zrealizowała Pani dla Teatru TV „Związek otwarty” napisany przez Dario Fo i jego żonę. Gra pani zdradzaną żonę – kolejną rolę zwykłej kobiety. Shirley Valentine, Monika z „Kobiety zawiedzionej”, Rita z „Edukacji Rity”, Mama z „Kochanków mojej mamy”, Agata z „Pestki”, takie role dają Pani więcej satysfakcji?

■ KRYSZYŃA JANDA: Takie role mnie bawią, uruchamiają wyobraźnię. Im postać bliższa publiczności, im bardziej ludzie widzą w niej siebie, znajomych czy bliskich, tym większa jest ich wdzięczność. Czuję to w teatrze. Zawsze przyglądam się tekstom w nadziei, że trafię na rolę zwykłej kobiety. Kiedy przeczytałam „Związek otwarty”, wiedziałam, że chcę zagrać Barbarę.

To nie jest sztuka realistyczna, chociaż opowiada o zachowaniu męża i żony w obliczu małżeńskiej zdrady. W tekście Fo postaci raz po raz wychodzą z roli i zwracają się do publiczności. Jak Pani to widzi?

■ To materiał na dwie wspaniałe role [męża gra Marek Kondrat – red.]. Bardzo zabawny. Rzadko się zdarza taka gratka, żeby można się pobawić formą. Grać i jednocześnie móc pokazać swój stosunek do tematu. Tekst sztuki nie zawiera prawd, które warto realistycznie referować, realizm niepotrzebnie by to udosłownił. To Dario Fo! Narzucało się, żeby zagrać tak, jak on sam gra w swoich spektaklach.

Czerpiąc z tradycji komedii dell'arte?

■ Nie tylko. Widziałam go w skeczu z wyobrażoną muchą. Na tle tej pantomimy, kłownady mówi monolog. To aktorstwo prawie w Polsce nieznanne. Widziałam filmy dokumentalne o nim. Za każdym razem fascynowało mnie, że można być do tego stopnia „wolnym” artystą. Tak łączyć, zderzać ze sobą różne środki wyrazu i nie bać się dosłowności czy przerysowań. „Związek otwarty” pozwala zabawić się w podobny sposób. Jaką formę inscenizacyjną Pani zastosowała?

■ Czytając sztukę, uświadomiłam sobie, że jako widz, oglądam ją jak film rysunkowy „Signor Linea”.

To ten ludzik, który wędruje po linii zmieniającej się w coraz to nowe obiekty, przeszkody i jednocześnie nieustannie kłóci się ze swoim stwórcą?

■ Taka forma pozwala wyjść z roli. Tekst daje miejsce na „wariacje”. Kamera, tak jak w filmiku, podąża tylko w jedną stronę. Ważne jest wyłącznie to, co potrafimy zagrać.

Gra Pani główną rolę i jednocześnie reżyseruje. Widziałam, że bardzo pomaga Pani mąż Edward Kłosiński, który jest operatorem tego spektaklu. To ułatwiło pracę?

■ Doświadczenie męża szalenie pomogło. Wiedziałam, że to przedstawie-



nie muszę przygotować precyzyjniej niż inne. Sztuką wymagała tzw. board story, czyli rozpisania na kolejne ujęcia i dlatego cały spektakl mieliśmy rozrysowany. Powiedziałam mężowi, jak to powinno wyglądać na ekranie. A o to, żeby wszystko się zgadzało w montażu, martwił się on.

Czy zrealizowała Pani ten spektakl dlatego, że tak jak w przypadku „Pestki” nikt nie chciał się podjąć reżyserii?

■ Rolę Barbary zaproponował mi reżyser Piotr Cholewiński. Ale ja zobaczyłam ten tekst w tak charakterystyczny sposób, że już nie wyobrażałam sobie zrobienia tego inaczej. Opowiedziałam to reżyserowi. Powiedział: – W ta-

kim razie zrób to sama. Na tym stanęło. Decyzja, że mogę to robić dla telewizji, zapadła cztery miesiące temu.

Kiedy emisja?

■ Podobno za miesiąc.

Szybko.

■ Tak. Parę lat temu na emisję czekało się dwa, trzy lata. Teraz widzowie oglądają wszystko natychmiast. To dobrze, bo w przypadku tej realizacji pomysły formalne mogą się szybko zestarzeć.

Przez ostatnich dziesięć lat Pani sama znajduje sobie role: Shirley Valentine, Callas czy Marlena. Reżyseruje Pani dla teatru, zrobiła Pani film, nagrała płytę, wydała dwie książki. Dlaczego?

■ To nie do końca prawda. „Shirley Valentine” i „Lekcje śpiewu” znalazła

pani Małgorzata Semil, która jest sekretarzem literackim Teatru Powszechnego. „Marlenę” zaproponowała mi i przetłumaczyła specjalnie dla mnie pani Mira Michałowska. Sprawa jest prosta. Teatrom zależy na pieniądzu. A żeby, jak to się brzydko mówi, mogli na mnie zarobić, muszę grać coś efektownego. I takich ról się szuka.

A odpowiadając na pytanie – aktywność jest moją cechą. Mam tysiące pomysłów. A gdy długo krążyć wokół któregoś z nich, to dochodzi do realizacji.

Czy jednym z takich pomysłów jest szkoła reżyserów, o której wspominała Pani w jakimś wywiadzie?

■ Skąd! Namawiano mnie, żebym wykładała w prywatnej szkole aktorskiej. Ale żeby zakładać szkołę i do tego dla reżyserów! A czego ja mogłabym nauczyć reżyserów? A poza tym szkoda czasu. Lepiej pobyc z dziećmi i poczytać im np. „Kubusia Puchatka”.

Aktor jest człowiekiem do wynajęcia, reżyser opowiada swoje historie. Czy myślę się, mając wrażenie, że Pani opowiada widzom swoje historie jako reżyser, ale także jako aktorka?

■ Może nie swoje, tylko takie, które w moim odczuciu trafiają w oczekiwania publiczności. Jak się jest dużo na scenie, a robię to co wieczór, czasami gram po dwa spektakle, to naprawdę zna się widzów. Moja wiedza o Polakach jako o widzach jest ogromna. Myślę, że reżyserzy chętnie korzystają z mojego doświadczenia.

Ale publiczność jest różna.

■ Wszędzie jest taka sama. Naprawdę. Do teatru chodzi elitarna grupa i ona jest wszędzie taka sama.

Warszawa nie jest bardziej snobistyczna?

■ Pani mówi o premierach. Premiera mnie nie interesuje. Sprawdzianem jest setne przedstawienie. Choć czasem mam wrażenie, że poza stolicą jest prawdziwiej.

Po zagranii Agnieszki u Wajdy, Toni u Bugajskiego, Medei u Hübnerna nie stworzyła Pani postaci, które miałyby taką temperaturę. Czy brakuje autorytetu, któremu mogłyby się Pani podporządkować?

■ Dziesięć lat gram głównie w teatrze. Sporo ról i żadna z nich nie miała mniej niż sto przedstawień. Jeśli chodzi o film, to od 1989 roku polska kinematografia zmieniła oblicze. Inne rzeczy się opowiada i w inny sposób. Jeszcze nie dostałam propozycji, która byłaby warta aż takich emocji. Od lat nie czytałam scenariusza filmowego, w którym temat naprawdę byłby ważny, oparty na uczuciach, namietnościach, chęci powiedzenia prawdy i przeciwstawienia się czemuś. Ja w każdym razie nie dostałam takiej propozycji.

Może nie ma zapotrzebowania na tragedię, jest zapotrzebowanie na sukces?

■ Kino robią teraz młodzi. Mają swoje tematy, swoich aktorów, swoje problemy. I ja mogę ewentualnie zagrać matkę złodzieja albo gangstera.

Jestem aktorką, o której trzeba specjalnie pomyśleć. A tekstów teatralnych dających wspaniały materiał na rolę jest

na świecie dużo. Dlatego zagrałam Callas, dlatego gram Marlenę. Grają to również świetne aktorki na świecie.

A projekt Andrzeja Wajdy, który mówi, że chciałby zrealizować film z Panią w roli głównej? Podobno ma to być kontynuacja „Człowieka z marmuru” i „Człowieka z żelaza”?

■ Andrzej rozmawiał ze mną, ale o niczym takim nie wspominał. Słyszę i czytam w jakichś

wywiadach, że chodzi o mnie. Bardzo się cieszę. Nie mam zielonego pojęcia, co zamierza Andrzej Wajda, ale o cokolwiek by chodziło, przywołana przebiegnę z radością.

Rozmawiała
EWA GALAZKA

DARIO FO, ur. w 1926 roku włoski dramaturg i aktor, laureat literackiej Nagrody Nobla za 1997 rok.

Karierę rozpoczął od występów w satyrycznych rewelach i kabaretach. Po ślubie z aktorką i pisarką Franca Rame założył w 1959 roku kompanię aktorską.

Popularność przyniosły im występy w telewizyjnym show „Canzonissima”. W 1968 roku małżonkowie założyli grupę Nuova Scena, związaną z Włoską Partią Komunistyczną. W 1970 roku wystartowali z Collettivo Teatrale La Comune, ruszając z występami w trasę po fabrykach, parkach i szkołach.

Fo pisał dramaty, gawędy, monologi radiowe, skecze kabaretowe i telewizyjne, spektakle z piosenkami i teksty feministyczne dla żony. Jego teatralną wizytówką jest przedstawienie dla jednego aktora „Mistero Buffo” (1973), przypominające występy średniowiecznych minstrelów.

Światową karierę zrobiła sztuka „Przypadkowa śmierć anarchisty” (1980) nawiązująca do prawicowych zamachów bombowych we Włoszech w roku 1969, którymi obciążono anarchistów. Ostry humor i skrajnie lewicowe poglądy sprawiły, że 40 razy oskarżano Fo o „przestępstwa światopoglądowe”.

W 1974 roku Franca Rame, działająca wówczas w skrajnie lewicowej organizacji Czerwona Pomoc, została zgwałcona przez prawicowych bojówkarzy.

Fo, dawny członek Włoskiej Partii Komunistycznej, w 1980 roku nie otrzymał wizy wjazdowej do USA z powodu swej działalności w grupie solidarności z więźniami.

J.sz.